

Stolica muzyki

23 listopada 2013

Londyn od wielu dekad nie jest już centralnym punktem imperium, nad którym nigdy nie zachodzi słońce. W pewnej dziedzinie jednak nadal pozostaje jednym z najważniejszych punktów na świecie. Chodzi oczywiście o muzykę, której Londyn jest niekwestionowaną stolicą.

Kiedy 23 września 1966 r. Jimi Hendrix wsiadał na pokład lecącego z Nowego Jorku do Londynu samolotu, miał ze sobą cały swój dobytek. Składały się nań: gitara elektryczna Fender Stratocaster i niewielka torba, w której upchał kilka ubrań, plastikowe wałki do włosów i leki na trądzik młodzieńczy. W jego kieszeni spoczywało pożyczone po drodze na lotnisko 40 dolarów. Celu podróży można się było oczywiście domyślać. Prawie nikomu nieznany, grywający do kotleta w nowojorskich knajpach gitarzysta marzył o karierze i sławie, a o jedno i drugie w tych czasach o wiele łatwiej było po drugiej stronie Atlantyku.

BRYTYJSKA INWAZJA

Mówiąc wprost, w latach 1960. pod względem muzycznym Stany Zjednoczone były brytyjską kolonią i nie ma w tych słowach żadnej przesady. 8 maja 1965 r. w pierwszej dziesiątce amerykańskiej listy przebojów Billboard Hot 100 tylko jedną pozycję zajmowała rodzima kapela Gary Lewis & The Playboys. Cała reszta, łącznie z „jedyneką”, zdominowana została przez najeźdźców ze Zjednoczonego Królestwa. Co ciekawe, inwazja przeprowadzona została za pośrednictwem stuprocentowo amerykańskiego wynalazku. Jakby nie było, rock'n'roll powstał na początku lat 1950. w USA. Skoczna i łatwo wpadająca w ucho muzyka szybko przyjęła się w różnego rodzaju tancbudach, jednak w domach młodzieży w dalszym ciągu chętniej słuchała rodzimej odmiany folku.

Powód tego podziału był bardzo prosty i opierał się na zasadach panujących w ówczesnym społeczeństwie. Wywodzący się z bluesa rock'n'roll przez Amerykanów traktowany był jako domena czarnych. Tak zwanym WASP, czyli białym Anglosasom wyznania protestanckiego (z ang. White Anglo-Saxon Protestant), zainteresowanie tego typu rozrywką po prostu nie przystawało. Zupełnie inaczej sprawa wyglądała w Europie, w której młodzież jak gąbka chłoneła wszystkie nowe, pachnące świeżością trendy. Tak właśnie w Liverpoolu zrodził się Merseybeat – muzyka grana między innymi przez kapelę The Quarry Men. Grupa z czasem zmieniła nazwę na The Silver Beatles, a następnie skróciła ją do The Beatles. 17 grudnia 1963 r. piosenkę Beatlesów „I Want to Hold Your Hand” nadała lokalna stacja radiowa WWDC. Następnego dnia rano tłumy nastolatków przypościły zmasowany atak na sklepy muzyczne w Waszyngtonie, tylko po to, żeby dowiedzieć się, że w żadnym nie ma ani jednej płyty nagranej przez czwórkę Brytyjczyków. Miesiąc później kawałek był już najlepiej sprzedającym się singlem w USA. Po upływie kolejnych trzech miesięcy kapela okupowała już pięć pierwszych miejsc listy Billboard Hot 100, a rekordu tego nie udało się pobić nikomu do dnia dzisiejszego.

– Tym razem brytyjska inwazja nadchodzi pod kryptonimem „beatlemania” – relacjonował lądowanie wyruszających w swoje pierwsze tournée po Stanach liverpoolczyków reporter CBS Evening News. I rzeczywiście, wkrótce za Beatlesami na podbój amerykańskiego rynku ruszyła Dusty Springfield, a po niej rozpoczął się już zmasowany atak, w którym udział wzięli między innymi The Animals, Petula Clark, The Rolling Stones, Tom Jones, The Yardbirds i wielu innych.

PO SŁAWĘ DO LONDYNU

23-letni Jimi do Londynu nie wybierał się w ciemno. Bilet na przelot pierwszą klasą kupił mu nie kto inny, jak Chas Chandler. Kilka miesięcy wcześniej marzący o karierze producenta muzycznego basista The Animals zobaczył go w jednej

z nowojorskich kafejek grającego „Hey Joe” i uznał, że ten młody człowiek idealnie nadaje się na jego pierwsze odkrycie.

W Londynie Chandler nie zasypiał gruszek w popiele i Hendrix już kilka godzin po lądowaniu znalazł się w klubie Scotch of St. James – miejscu, w którym spotykała się cała muzyczna śmietanka stolicy Zjednoczonego Królestwa.

Wkrótce dzięki Chandlerowi Hendrix znał już wszystkich i wszyscy też wiedzieli, co potrafi on zrobić z gitarą. A jak wiadomo, czynić potrafił prawdziwe cuda. Właśnie w Londynie Hendrix po raz pierwszy dostał w swoje ręce wzmacniacz Marshalla. Jak wspominał później Brian Auger z bluesowo-jazzowej kapeli Brian Auger and the Trinity, podczas jam session Jimi bez zastanowienia podkręcił w nim wszystkie pokrętła do maksymalnej dziesiątki i już po chwili z głośników wydobyła się ściana zakłóceń i sprzężeń zwrotnych. Od tej pory znakiem rozpoznawczym Hendrixa stały się wszelkiego rodzaju zgrzyty i piski. To, co inni uważali za mankament elektrycznej odmiany tego instrumentu, on wykorzystał, żeby wydobywać zeń zupełnie nowe brzmienia. Grał na niej za swymi plecami, zamiast palców używał zębów i języka, a jego występy przypominały szamańskie sesje. Na prawdziwy szok trzeba jednak jeszcze było czekać do 1967 r.

PŁONĄCA GITARA

W tym czasie The Jimi Hendrix Experience okupowali już górne strefy brytyjskich list przebojów i gościli w popularnych show telewizyjnych „Ready Steady Go!” i „Top of the Pops”. Chandler uważał jednak, że kapela wciąż zbyt mało skupia na sobie uwagę mediów. Właśnie dlatego uznał, że podczas otwierającego jej pierwszą samodzielną trasę koncertu w klubie „Astoria” na Finsbury Park Jimi musi dokonać czegoś, czego długo nikt nie zapomni. Poproszony o poradę dziennikarz Keith Altham zasugerował, że trzeba tu czegoś bardziej dramatycznego niż dzikie występy muzyków z The Who, którzy podczas swoich koncertów notorycznie niszczyli używane przez siebie

instrumenty. To właśnie wtedy zrodził się pomysł podpalenia gitary. 31 marca 1967 r. tuż przed występem menadżer trasy Gerry Stickells wyskoczył do pobliskiego sklepu i kupił paliwo do zapalniczek. Tego dnia Jimi dał niespodziewanie dynamiczny, 45-minutowy popis swoich możliwości. Pod sam koniec, w trakcie gania „Wild Thing” podpalił swojego Fendera Stratocastera, przez cały czas kontynuując niesamowity show. Z instrumentu zaczęły się wydobywać dzikie piski i zawodzenia, które szybko wprowadziły w trans zgromadzoną na sali publikę. Następnego dnia brytyjskie gazety zaczęły się rozpisywać o „czarnym Elvisie” i „Dzikim Człowieku z Borneo”, a zdjęcie Hendriksa pochylonego nad palącą się gitarą stało się jedną z ikon szalonych lat 60. Jest dzisiaj tak samo rozpoznawalne jak fotografia Che Guevary w jego słynnym berecie czy czarno-biała fotografia oficera armii południowowietnamskiej celującego z pistoletu w głowę przestraszonego więźnia.

NO FUTURE

Jeśli chodzi o sam klub, w którym odbył się historyczny koncert, to jeszcze przez ćwierć wieku była to jedna z najbardziej znanych sal koncertowych Londynu. W 1971 r. miejsce zmieniło nazwę na Rainbow Theatre, a swoje koncertowe krążki nagrywały tu takie legendy, jak Pink Floyd, Yes, Queen czy Genesis. Większość z tych płyt nosiła zresztą mało oryginalny tytuł „Live at the Rainbow Theatre”. Niestety, mnogość chcących występować tu gwiazd nie była w stanie uchronić sali przed powolnym upadkiem. Wybudowany w 1930 r. przez sieć kin Astoria budynek w latach 1970. wpisany został na listę zabytków, co, o ironio, okazało się dla niego niedźwiedzią przysługą. Ówczesny właściciel, firma Strutworth Ltd, twierdził, że po prostu nie stać go na remonty zgodne z obowiązującymi w brytyjskim prawie o ochronie dziedzictwa narodowego standardami. W efekcie budowla, która w czasach swej świetności reklamowana była jako najbardziej luksusowe kino w Londynie, powoli zaczęła popadać w ruinę. Paradoksalnie okazało się to jednak nie do końca niekorzystne. Odrapane

ściany klubu stanowiły bowiem doskonałą scenerię dla młodego pokolenia muzyków, którzy w tym czasie zdobywali brytyjskie sceny. W Rainbow Theatre zaczęli się pojawiać Eddie and the Hot Rods, Ultravox, The Damned, The Stranglers i The Vibrators. Nadchodziła era punk rocka, która w pełni objawiła się w maju 1977 r. Wtedy to od występu w Rainbow Theatre swoją pierwszą prawdziwą trasę koncertową rozpoczęli The Clash.

W trakcie czterogodzinnego show na scenie pojawili się również The Jam, The Buzzcocks, Subway Sect i The Prefects. Koncert przeszedł do historii nie tylko jako największa w tym czasie punkrockowa impreza. Na drugi dzień brytyjskie media całą swoją uwagę poświęciły zadymie, którą sprowokował Joe Strummer, śpiewając „White Riot”. W odpowiedzi fani zaczęli wyrywać z widowni fotele i ciskać nimi w stronę sceny. W sumie zniszczono ich ponad 200, a straty zostały oszacowane na ponad tysiąc funtów. Jak się wydaje, nie wywarło to jednak zbyt wielkiego wrażenia na właścicielu lokalu.

– To nie było celowe uszkodzenie, ale naturalna żywiołowość... Spodziewaliśmy się pewnych strat i poczyniliśmy już kroki w celu pokrycia kosztów. Wkrótce będziemy mieli więcej punkowych koncertów – tłumaczył na drugi dzień mediom dyrektor klubu Allan Schaverien i swojego słowa dotrzymał. Od października tego roku w każdy piątek wieczorem Rainbow Theatre w swoje władanie przejmowały punki. Bilety kosztowały jednego funta, a tymczasowa scena, na której wystąpili między innymi Johnny Thunder & The Heartbreakers, The Ramones, Blondie, Siouxsie & The Banshees, The Rezillos, Sham 69, Generation X i oczywiście The Clash, urządzona została w foyer. Główna scena na wszelki wypadek w piątki pozostawała zamknięta.

24 grudnia 1981 r. z okazji 50-lecia Rainbow Theatre zagrali Elvis Costello and The Attractions. Jak się niestety okazało, był to ostatni koncert w tym miejscu. Rok później nieudanej próby reaktywacji klubu podjęli się muzycy kapeli The Crass, którzy zasquutowali opuszczony budynek i próbowali urządzić w nim występ. Przeszkodziła im ewikcja (od „evictio” –

odzyskanie własności drogą sądową, pozbawienie kogoś prawa do posiadania rzeczy nabytej zgodnie z prawem na mocy orzeczenia sądowego – przyp. red.).

Steve Ignorant i jego załoga przenieśli się więc do również porzuconego Zig Zag Club w zachodnim Londynie. W latach 80. w sali okazjonalnie urządzone były walki bokerskie. W roku 1995 budynek został zakupiony przez Uniwersalny Kościół Królestwa Bożego. Od tej pory w Sali, w której swoją gitarę spalił Jimi Hendrix, słysząc już tylko hymny wielbiące chwałę Pana.

NAMIOT JAK PIRAMIDA, PIRAMIDA JAK Z „MISIA”

Strata Rainbow Theatre zapewne spowodowała, że łza zakręciła się w oku kilku podstarzałym hipisom i siwiejącym punkowcom. Nie ma co jednak ukrywać, że na scenę muzyczną stolicy Zjednoczonego Królestwa wpływ miała raczej niewielki. W mieście działa ponad 20 wielkich sal koncertowych, a miłośnicy granej na żywo muzyki mogą również wybierać spośród setek małych, specjalizujących się we wszystkich możliwych gatunkach muzycznych klubików. Bez wątpienia jednak największe wrażenie robi na wszystkich The 02. Gigantyczny, rozbity na czubku przylądka Greenwich namiot widać nawet na zdjęciach satelitarnych. Jego średnica wynosi dokładnie 365 m – po jednym metrze na każdy dzień roku. Sztywność konstrukcji zapewnia 12 gigantycznych 100-metrowych masztów. Jeśli komuś jeszcze mało tych kalendarzowych porównań, dodać można, że w swym najwyższym miejscu kopuła wznosi się na wysokość 52 metrów – dokładnie tyle, ile w roku przypada tygodni. Sam projekt został zapoczątkowany na znacznie mniejszą skalę jeszcze za czasów konserwatywnego premiera Johna Majora i miał być ozdobą obchodów wejścia Wielkiej Brytanii w trzecie tysiąclecie. Prawdziwego rozmachu nabrał w roku 1997, po przejęciu władzy przez Tony’ego Blaira, który znacznie dofinansował budżet i nakazał zwiększyć rozmiary budowli.

W wyniku tych rozsad nad brzegiem Tamizy zaczął powstawać największy namiot na świecie – Millennium Dome. Sam Blair na

krótko przed jego ukończeniem tłumaczył, że jest to „triumf zaufania nad cynizmem, śmiałości nad zobojętnieniem i doskonałości nad przeciętnością”. Lewicowi politycy nie ukrywali, że Millennium Dome ma być pomnikiem, który swą okazałością i śmiałością wychwalać będzie dokonania nowej ekipy rządzącej. Niestety, dosyć szybko okazało się, że jest to raczej przykład na to, jak laburzyści potrafią marnotrawić publiczne fundusze. Budowa samego namiotu kosztowała brytyjskich podatników „jedynie” 46 mln funtów. Prawdziwe wydatki zaczęły się jednak dopiero po uroczystej inauguracji. Funkcjonująca tu przez cały rok 2000 wystawa „Millennium Experience” przyciągnęła w sumie ponad 6 mln widzów, a sprzedane na nią bilety przyniosły 189 mln zysku. W tym samym czasie jednak koszty eksploatacji przekroczyły 789 mln. Co gorsza, po zamknięciu wystawy nikt nie miał zielonego pojęcia, co dalej. Przez kolejne lata gigant stał pusty. Mimo to miesięczny koszt jego utrzymania i tak oscylował w okolicach miliona funtów. Budowla bardzo szybko zyskała miano białego słońca, którym to idiomem w Wielkiej Brytanii zwykło się określać bardzo drogi, ale niepotrzebny przedmiot.

NA RATUNEK KORPORACJE

Pomysł na zagospodarowanie namiotu dopiero po pięciu latach znalazł miliarder Philip Anschutz. Należąca do niego firma Anschutz Entertainment Group (AEG) przechrzciła budowlę na „The O2”, za co brytyjski gigant telekomunikacyjny zgodził się płacić rocznie 6 mln funtów. Nowy właściciel w przebudowę zainwestował kolejne 600 mln. Za tę sumę pod największym na świecie dachem powstał kompleks kin, restauracji, pubów i przestrzeni wystawienniczych. W samym centrum zaś znalazło się miejsce na gigantyczną, mogącą jednorazowo pomieścić 24 tys. widzów salę koncertową. 24 lipca 2007 r. swoim show działalność O2 Arena zainaugurowali muzycy z Bon Jovi i tym samym Millennium Dome rozpoczął nowe życie.

Od tej pory na sali koncertują największe gwiazdy światowego show-biznesu, a o występie w niej marzą wszyscy – od AC/DC po

Justina Timberlake'a.

8 lipca 2009 r. O2 Arena miała stać się miejscem największego chyba wydarzenia muzycznego w XXI wieku: tego dnia na scenę miał wrócić Michael Jackson. Król popu z nowym show „This Is It” wiązał duże nadzieje. Nękany przez serię skandali obyczajowych i oskarżeń o pedofilię od 1997 r. nie miał żadnej trasy koncertowej. Nowy kontrakt z firmą AEG Live miał mu zapewnić dochód w wysokości 50 mln dolarów i promocję nowej, pierwszej od ośmiu lat płyty. Jednym słowem, król miał w końcu złapać wiatr w żagle.

Występ zaplanowany został z rozmachem, jakiego nikt nie widział już od lat. Na same przygotowania wydano 13 mln funtów. W jego trakcie Jackson miał zaśpiewać 22 piosenki (każdą przy innej scenografii), a na scenie oprócz grupy tancerzy mieli mu również towarzyszyć podniebni akrobaci. Menadżerowie AEG Live na początek zaplanowali serię 50 koncertów w londyńskiej O2 Arena, na które już w pierwszych dniach internetowej sprzedaży stęsknieni za swoim idolem fani wykupili ponad milion biletów. Później show miało ruszyć w świat.

ZA WSZELKĄ CENĘ

20 maja przedstawiciele AEG poinformowali media, że termin trzech pierwszych koncertów Michaela Jacksona został przesunięty, a wygospodarowany w ten sposób czas zostanie spożytkowany na dodatkowe próby. Pięć dni później świat dowiedział się o śmierci muzyka.

Jak już dzisiaj wiadomo, przyczyną zatrzymania się serca króla popu był propofol – silnie działający lek nasenny, którego stosowanie w warunkach domowych jest niedozwolone. Za jego pomocą osobisty lekarz Michaela Jacksona Conrad Murray starał się artystę wzmacniać podczas wyczerpujących przygotowań do trasy koncertowej. 7 listopada 2011 r. Murray został uznany winnym nieumyślnego zabójstwa piosenkarza i trzy tygodnie

później usłyszał wyrok 4 lat pozbawienia wolności.

Niezależnie od tej sprawy matka artysty Katherine Jackson postanowiła wytoczyć również cywilny proces koncernowi AEG Live. Jej zdaniem promotorzy z należącej do Philipa Anschutz firmy za wszelką cenę chcieli pokazać Jacksona na londyńskiej scenie i aby osiągnąć przewidywane wielusetmilionowe zyski, byli gotowi na wszystko. Podczas zakończonych 27 września przesłuchań przedstawiciele AEG tłumaczyli, że Jackson był dorosłym mężczyzną i to on osobiście wybrał Conrada Murraya na swojego lekarza. W trakcie procesu wyszło jednak na jaw, że AEG obiecywało wypłacać medykowi w trakcie trasy wynoszącą 150 tys. dolarów miesięcznie pensję. Na światło dzienne wypłynęły również e-maile, w których menadżerowie AEG piszą z niepokojem o pogarszającej się fizycznej i psychicznej kondycji artysty, a nawet nazywają go freakiem. Jak można się było spodziewać, nikt cytowanej przez prawników rodziny Jacksona korespondencji nie pamiętał. Zresztą kto by miał do tego pamięć. „Show must go on” – jak śpiewał pewien inny bywalec londyńskich scen.

A tych znanych na całym świecie w Londynie nie brakuje. The Garage, Brixton Academy, The Mass, 02 Sheperd's Bush Empire czy siostra The Rainbow Theatre – Astoria, w której przed wyburzeniem kilka lat temu grało wiele światowych i naszych rodzimych zespołów, z Kultem na czele. Choć niektóre z nich już nie istnieją, wniosły do historii muzyki wiele, czyniąc z Londynu niekwestionowaną stolicę światowej muzyki. Tak wiele, że nie sposób wszystkiego wymienić.

Autor: Jakub Ryszko

Źródło: [eLondyn](#)